

Iwona Klimczak

ZŁOTE GODZINY



Iwona Klimczak

ZŁOTE GODZINY

REDAKCJA: ALICJA GAJDA, PRACOWNIA RESTORY
SKŁAD: KAMIL POTĘGA, PRACOWNIA RESTORY
KOREKTA: INKA WOJTCZAK, PRACOWNIA RESTORY
PROJEKT OKŁADKI: KAMIL POTĘGA, PRACOWNIA
RESTORY

WYDAWCA:

IKA. IWONA KLIMCZAK

IWONAKLIMCZAK.PL

E-MAIL: IKA.WYDAWNICTWO@GMAIL.COM

DRUK: TOTEM.COM.PL SP. Z O.O., SP. K

WYDANIE I 2025

ISBN : : 978-83-971188-3-6

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

*Samotność to taka straszna trwoga
ogarnia mnie, przenika mnie...*

RYSZARD RIEDEL, *List do M.*

— ROZDZIAŁ I —

Nie powinno się umierać w piękny dzień i nie powinno się nikogo grzebać w taką wspaniałą pogodę – myślała Alicja niemal obsesyjnie, stojąc w zimnej kaplicy cmentarnej przy trumnie swojego męża. Leżał tam całkiem martwy, a do niej wciąż nie docierało, że nie zobaczy go już na tym świecie, nie odezwie się więcej, nie zjedzą razem obiadu ani się nie pokłócą. Koniec. Pustka. A ona nie mogła przestać myśleć o tej przeklętej pogodzie.

Boże Narodzenie, ich ostatnie święta, było szare i przygnębiające, dopiero w styczniu spadł piękny śnieg i chwycił ostry mróz. Teraz jednak wciąż świeciło słońce, sprawiając, że wokół zaczynało robić się coraz ładniej. Była pewna, że taka śnieżna zima już zawsze kojarzyć jej się będzie ze śmiercią.

Stojąc nad grobem, powinna przecież płakać, rozpaczać, powinna czuć całą sobą tę stratę, a ona myślała tylko o tym piękniejącym świecie. Chłopcy na szczęście zajęli się wszystkim, więc od kiedy się dowiedziała, mogła trwać w takim odrętwieniu i niemocy. O na, której trudno było cokolwiek narzucić, która zawsze rządziła wszystkimi wokół, jeśli tylko uznała, że tak należy, teraz dawała sobą kierować i słuchała swoich dzieci. Wojtek przyjechał niemal od razu, gdy tylko dowiedział się, że ojciec nie żyje. Nawet miał pretensje, że nie powiadomiła go natychmiast, tylko czekała do rana, ale co by to zmieniło? Marek i tak był martwy, a Wojtek chciałby może przyjechać jeszcze tego samego dnia. Po nocy.

Maciek był w niedzielę wieczorem. Z Oslo jest jednak kawałek dalej niż z Warszawy, więc i tak szybko się zebrał, bo musiał przekazać komuś w weekend swoje sprawy. Klientów, którym stawiał osiedla mieszkaniowe, nie obchodziło przecież, że budowlanćowi umarł ojciec. „Life is brutal” – to było jedno z ulubionych powiedzeń Marka. Męża, którego już nie miała.

Aga z Judytką i Oliwia przyjechały dopiero w dzień pogrzebu, choć Alicja nie była pewna, czy zabranie czteroletniej dziewczynki na pogrzeb dziadka to na pewno dobre rozwiązanie. W dodatku z Norwegii. Ale, jak zwykle, Agnieszka wiedziała wszystko najlepiej.

Gdy Grzesiek zadzwonił, że był wypadek i Marka zabrali do szpitala, nie przypuszczała, że już nie żył. Spytała tylko, dokąd go zawieźli. Właściwie nawet nie przyszło jej do głowy, że mogło się stać to najgorsze. Do dziś nie wiedziała, czy Grzesiek powiedział tak, żeby nie wpadła w jakąś histerię, czy również nie był tego świadomy. Dopiero na miejscu ją poinformowano. W sumie mógł się wysilić trochę bardziej ten Grzesiek. Znali się od prawie czterdziestu lat i wiedział, że jest tu sama. Zamiast dzwonić, mógł wsiąść do tej swojej nowej, wypasionej terenówki i przyjechać. A on? Telefon. Możliwe jednak, że był już po paru głębszych. Jak to przy piątku, po robocie. Kolejne z ulubionych powiedzeń Marka.

Na pogrzeb przyszło dużo ludzi. Naprawdę dużo. Niektórzy, bo chcieli; inni, bo nie wypadałoby nie przyjść. Przyjechała jej siostra i obaj jego bracia. Byli niemal w komplecie koledzy z pracy, pojawił się ktoś ze szkoły, w której pracowała Alicja, było kilku sąsiadów i wiele osób, których nie знаła. Przyglądała się im, stojąc nad grobem i czekając, aż trumnę z ciałem Marka Olszewskiego przysypią ziemią.

Jej uwagę przykuła jakaś obca kobieta. Elegancko ubrana, w jakieś świetliste żółcie i ciepłe brązy, zupełnie nieodpowiednie na pogrzeb, wyjątkowo ładna i bardzo zapłakana, była chyba jedną z niewielu osób, które okazywały uczucia. Alicja pomyślała, że ludzie nie płaczą już nawet na pogrzebach. Zanotowała sobie w głowie, by spytać Grześka, kim ona jest. Była niemal pewna,

że nigdy jej nie spotkała. Możliwe więc, że to ktoś, z kim Marek robił interesy. Tylko dlaczego płakała?

Choć synowie zajmowali się wszystkim i podejmowali za nią decyzje, zaprotestowała, gdy chcieli urządzić stypę; bardzo chciała tego uniknąć. Tyle że niemal cała rodzina mieszkała poza Łodzią, więc Maciek się uparł, a Wojtek zaraz go poparł. Zgodni jak nigdy. Wynajęli jakąś knajpę w pobliżu i zorganizowali obiad. Wymogła tylko na dzieciach, by zaprosić wyłącznie najbliższą rodzinę. No I Grześka. On zawsze i wszędzie był z Markiem, więc jemu także stypa się należała. Zebrało się i tak blisko dwadzieścia osób. Alicja westchnęła. Jeszcze kilka godzin tej męki, a później...

Właśnie... Co później?

Nad tym się jeszcze nie zastanawiała. Liczyła tylko, że jak się skończy ten pogrzeb i stypa i jak wszyscy ci ludzie sobie pójdą, to będzie już spokój.

– Wojtek, co się właściwie stało? – spytał tubalnym głosem Bogdan, starszy brat Marka.

Wojtek spojrzał na siedzącego obok Maćka, jakby było coś niezwykłego w tym, że wujek pyta jego zamiast starszego brata.

– Tata jechał samochodem. Źle się poczuł, ale zdołał jeszcze zjechać na pobocze – odpowiedział, patrząc tym razem na matkę, pewnie by potwierdzić, że niczego nie pokręcił.

– Zadzwonili z pogotowia do wujka Grześka – dodał Maciek. Obaj bracia mówili do Grzegorza „wujku”, mimo że nie był z nimi spokrewniony.

– Rozmawialiśmy chwilę wcześniej i ratownicy wybrali ostatni numer z jego komórki. Marek powiedział, że coś mu niedobrze, że zjedzie na chwilę i później zadzwoni – uzupełnił siedzący przy ścianie przyjaciel Olszewskich, który najwyraźniej poczuł się wywołany do odpowiedzi. On też spoglądał na Alicję. Miała nieodparte wrażenie, że w oczach, oprócz smutku, miał coś jeszcze. Niepokój.

– Zdążył wezwać pomoc? – ciągnął Bogdan.

– Nie – odpowiedział Grzegorz. – Ktoś się zatrzymał sprawdzić, co się stało, bo niemal zjechał do rowu. Ci ludzie mówili, że jeszcze żył, jak przyjechało pogotowie.

Znów spojrzał na Alicję. Przeczesał ręką mocno przerzedzone włosy. Pamiętała, że robił tak, gdy się denerwował. Słuchała tego wszystkiego, jakby mówili o kimś obcym, nie o człowieku, którego znała ponad czterdzieści lat, z czego trzydzieści pięć byli małżeństwem.

– Mój Boże, taki zdrowy człowiek i nagle zawał – powiedziała jak zwykle niezbyt mądrze jej siostra. To dzięki niej Alicja poznała Marka, z którym Dorota chodziła do tej samej szkoły średniej.

– Co zrobić, lata lecą – westchnął ciężko Janusz, drugi z braci jej męża. Pewnie mówił z własnego doświadczenia, bo zbliżał się do siedemdziesiątki i było to widać coraz bardziej, zwłaszcza w ostatnich latach.

– Sześćdziesiąt cztery lata to trochę za mało, żeby umierać. Nie sądzicie? – spytała Alicja. – Ktoś chce kawy? Proszę się częstować.

Nie czekając na reakcję rozmówców, wstała i podeszła do stojącego wrogu ekspresu. Wpatrywała się w maszynę, gdy ta miała ziarna, a później wypływała ciemny płyn do filiżanki. Dopiero gdy wszystko ucichło, Alicja wróciła powoli na swoje miejsce z napojem, na który właściwie nie miała zbytnej ochoty, ale był to najprostszy sposób, żeby uciec od tej przygnębiającej rozmowy I chociaż przez moment czymś się zająć.

– Co teraz zamierzasz? – spytała Dorota.

Alicja popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Jak to, co zamierzam?

– Chodzi mi o to, jakie masz plany na później? Na przyszłość? Zostaniesz tu całkiem sama – powiedziała. – Chłopcy daleko, my też...

Chyba że przeniesiesz się do któregoś...

Zamilkła. Dorota wciąż o jej synach mówiła „chłopcy”, pomimo że obaj od dawna byli wyżsi od niej co najmniej o głowę. U Alicji zawsze wywoływało to uśmiech, ale tym razem nawet nie

zwróciła na to uwagi, bo poczuła złość, gdy uświadomiła sobie, co chciała wyrazić siostra.

– Dlaczego miałabym się przenosić do któregoś z moich synów? Nie rozumiem – spytała nieco zaczepnie.

– Bo wiesz, samej to trudno na świecie...

– Naprawdę? – Alicja szybko weszła jej w słowo i okrasiała wypowiedź krzywym uśmiechem. – Jakoś dajesz radę.

Dorota nigdy nie wyszła za mąż. Po latach związku z żonatym facetem została sama. To był odwieczny temat ich rozmów. Za każdym razem, gdy się widziały, Alicja próbowała wybić jej z głowy związek z mężczyzną, który nigdy, przenigdy nie zostawi dla niej żony. I nie zostawił. O puścił za to Dorotę. Od tego czasu nie związała się z nikim i była zupełnie sama w miejscu, do którego przeprowadziła się z jego powodu. Alicja tłumaczyła siostrze wiele razy, że skoro już przeszła na emeryturę, to mogłaby wrócić do ich rodzinnego miasta, ale ona wciąż znajdowała nowe wymówki i, zdaniem Alicji, nie była zdolna do podjęcia decyzji o tak radykalnej zmianie. Żyła więc z dnia na dzień w swojej kawalerce w bydgoskim blokowisku i coraz bardziej dziwaczyła.

– Przyzwyczaiłam się, ale co to za życie? – Dorota machnęła ręką, robiąc dramatyczną minę, którą przybierała często, niezależnie od wagi problemu.

– To może wreszcie mnie posłuchasz i wrócisz do Łodzi. Mieszkanie można sprzedać, zamienić, tu łatwo coś znajdziesz. I nie będziesz sama – powiedziała dość ostro Alicja.

– No tak, może masz rację – przyznała zgodnie jej starsza siostra.

W ten sposób kończyły się ich rozmowy od kilku lat. Alicja pomyślała, że nawet nieźle byłoby mieć teraz kogoś bliskiego obok siebie i choć miała wrażenie, że Dorota przysporzyłaby jej raczej dodatkowych zmartwień, to jednak rodzina, ktoś bliski... Teraz łączyć ich będzie jeszcze więcej. Samotność. Odpędziła od siebie te myśli, nie chciała się rozkleić przy ludziach.

Wreszcie goście zaczęli się zbierać. Czekala na to. Nie dlatego, że ich nie lubila czy nie doceniala, że przyszli, ale byla naprawde mocno zmeczona. Marzyła, żeby znaleźć się już w domu i odpocząć. Grzesiek wychodził ostatni. Znów miał na twarzy jakieś dziwne zakłopotanie, którego wcześniej u niego nie dostrzegala. Tyle że wtedy żył Marek.

– Alu, pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć. Jeśli tylko będziesz czegoś potrzebować, jakiejkolwiek pomocy, dzwoń od razu – powiedział i pocałował ją w rękę. Zawsze to robił, choć byli już tak starymi znajomymi, że spokojnie mógł sobie darować te konwenanse.

– Będę pamiętać, dziękuję – odpowiedziała z lekkim uśmiechem.

– Dzwoń w każdej sprawie – podkreślił, jakby chciał mieć pewność, że dobrze to zapamięta.

Alicja kiwnęła głową i już zamierzała zapewnić, że się odezwie, gdy sobie przypomni, o co chciała go zapytać.

– Grzesiu, zauważyłeś na pogrzebie taką ładną, elegancką kobietę w brązowym płaszczu?

Mężczyzna zrobił dziwną minę. Zmarszczył brwi, jakby usiłował sobie coś przypomnieć, ale wyglądało to dość fałszywie. Alicja miała oko do takich rzeczy. Trzydzieści pięć lat pracy w szkole sprawia, że takie miny rozpoznaje się bezbłędnie.

– Stała trochę z tyłu, osobno. I płakała – odpowiedziała mu.

Przybrała minę nauczycielki, która wie, że uczeń się nie przygotował, ale daje mu jeszcze szansę, by jakoś samodzielnie wybrnąć z opresji.

– Nie kojarzę – odparł powoli. – Chyba nie zwróciłem uwagi.

Alicja była niemal pewna, że kłamał. Postanowiła, że później spróbuje go trochę przycisnąć. Zawsze umiała z nim rozmawiać. Podejrzewała, że miał do niej słabość od wielu lat, a ta sympatia wzrosła po jego rozwodzie, gdy ujęła go bardzo, przyznając mu rację w małżeńskim sporze. Nie wprost oczywiście, ale Marek bez wątpienia mu powiedział, że jej zdaniem to Bożena ponosiła winę za ich rozwód.

– Cóż, trudno – odparła I zabrzmiało to niezwykle zimno. Dokładnie tak, jak chciała. Na pewno zobaczą się niedługo, więc wróci do tematu.

– Wybacz Alu, naprawdę nie wiem, ale popytam, może to jakaś nasza klientka? – tłumaczył się.

Teraz była już całkiem pewna, że nie mówił prawdy. Klientka? Przyszła na pogrzeb i płacze? Bo Marek dachu nie zdążył położyć na jej domu? Wolne żarty.



Była potwornie zmęczona tym trudnym dniem. Z radością weszła więc do mieszkania, chociaż wiedziała, że jeszcze nie będzie mogła odpocząć, bo przecież chłopcy z rodzinami mieli z nią zostać. Wykorzystała trochę ich obecność i gdy Agnieszka zaproponowała, że zrobi kolację, a Oliwia dodała, że jej pomoże, Alicja chętnie się zgodziła. Niech sobie robią w jej kuchni, co chcą. Skoro chcą jeść – niech zajmą się przygotowaniem posiłku.

– Dziękuję, dziewczyny – powiedziała grzecznie i z rozkoszą rozsiadła się w swoim fotelu, stojącym przy oknie w dużym pokoju. Po raz pierwszy tego dnia, poczuła się dobrze. Maciek próbował zająć czymś Judytę, włączył jej więc telewizor i wybrał jakiś program z bajkami. Alicja nie skomentowała tego, choć uważała, że włączanie telewizji, żeby zająć dziecko, jest zwykłą głupotą. Dzisiaj było jej naprawdę wszystko jedno.

– Mamo, może pojedziesz z nami? – spytał Maciek. – Zaczynają się ferie, masz dwa tygodnie wolnego. Posiedzisz trochę u nas, oderwiesz się...

Alicja zmarszczyła brwi.

– Od czego się oderwę, synku? Że twój ojciec umarł? Jak mam się od tego oderwać? – W jej głosie, zamiast złości, którą poczuła, wybrzmiały smutek i rezygnacja. Dlaczego synowie traktowali ją,

jakby wraz ze śmiercią Marka straciła zdolność myślenia i podejmowania decyzji?

Maciek westchnął, ale jak zwykle zachował spokój.

– Chodziło mi o to, żebyś nie była sama i mogła się zastanowić, co dalej – wytłumaczył nieskładnie.

– Mama nie jest sama – wtrącił się Wojtek. – Warszawa jest trochę bliżej niż Oslo. W każdej chwili może przyjechać do nas. Ja również mogę ją zawsze odwiedzić.

– Już to widzę. Musiałaby ci twoja Oliwka pozwolić. I oczywiście szefowie z tej twojej uznanej międzynarodowej firmy, w której jesteś tak niezbędny – stwierdził z przekąsem Maciek.

– Uspokójcie się obaj. – Alicja uderzyła ręką w drewniany podłokietnik fotela. – Nie jestem niepełnosprawna. Umysł też mam na swoim miejscu. Nie potrzebuję opiekunów.

– Nie to miałem na myśli, mamo. – Starszy syn nie dawał za wygraną. – I tak mieliście do nas przyjechać, więc po prostu nie zmienisz planów.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – Wojtek wyraźnie się denerwował.

– Bo zostanie tu całkiem sama, rozumiesz? Czy zamiast mózgu masz już twardy dysk?

– Przynajmniej nie dostałem w głowę łopatą.

Nagle czas jakby się cofnął. Synowie jak zwykle się kłócili, za chwilę wejdzie Marek, każe im się uspokoić i spyta Maćka, o co poszło. Ten przedstawi swoją wersję, a ojciec ją przyjmie, nie pytając o nic Wojtka, i powie, żeby się więcej nie kłócili. Wtedy do akcji wkroczy ona – głównie dlatego, by młodszy syn nie poczuł się skrzywdzony. Odruchowo zerknęła w stronę drzwi, jakby spodziewała się, że za chwilę stanie tam jej mąż.

Maciek był dumą swojego ojca. Skończył budownictwo i prowadził nieźle prosperującą firmę – szkoda tylko, że w Norwegii. Marek nie mógł przeboleć, że drugi syn nie poszedł w jego ślady. Wojtek był informatykiem, robił karierę i pieniądze

w wielkiej korporacji. Szkoda tylko, że w Warszawie. Alicja żałowała, że żaden z synów nie odziedziczył jej humanistycznych zainteresowań i obaj wyrosli na momentami topornych, pozbawionych empatii technokratów. No ale Marek nieźle o to zadbał. Nauczycielka historii nigdy nie była dla nich zawodowym wzorem, jej zarobki tym bardziej. Czasem miała wrażenie, że tę bitwę przegrała. Tyle że chłopcy stali się dorosłymi mężczyznami, a ich ojciec leżał na cmentarzu. Kazała im więc stanowczo skończyć głupie kłótnie, jak z piaskownicy, i rozłożyć stół do kolacji. Posłuchali bez szemrania i chwilę później jedli już posiłek, rozmawiając o obojętnych sprawach.

– Mamo, musimy jeszcze pozałatwiać różne formalności – zaczął Maciek, gdy kończyli kolację.

– To ja położę Judytę – odezwała się milcząca dotąd przeważnie Agnieszka, ciągnąc małą do łazienki.

– Jakie formalności? – Alicja spojrzała na Maćka pytająco.

– No, wiesz, spadek i tak dalej...

– Spadek? Maciuś, dziś pochowałeś ojca i myślisz o spadku? – Nie wiedziała, czy jest bardziej zdziwiona czy zła.

– No wiesz, rozjedziemy się wszyscy...

– Ty się chyba rozjedziesz, bo ja nigdzie się nie wybieram – stwierdził Wojtek triumfalnie.

– Naprawdę nie możesz się choć dziś powstrzymać? – Maciek aż się skrzywił.

Alicja udała, że nie słyszy tej wymiany zdań między nimi. Miała już tego dość.

– Nic was nie ominie. I nic, co wasze, nie przepadnie – powiedziała cicho. – Dzisiaj ani jutro nie będziemy o tym rozmawiać. Ja również idę spać – dodała autorytatywnie i zaczęła sprzątać ze stołu.

– Niech pani zostawi, ja posprzątam – zerwała się Oliwia. Mówiła do niej per „pani”, bo choć mieszkała z Wojtkiem od dwóch lat, to wciąż nie myśleli o ślubie i obie nie bardzo wiedziały,

jak Oliwka powinna się do niej zwracać.

– Dziękuję ci, posprzątam. Przynajmniej nie będę musiała tego słuchać – powiedziała ostro Alicja.

Nawet nie zerknęła na synów, którzy popatrzyli na siebie niezbyt przyjaźnie.



To chyba nie jest zbyt normalne, że matka z ulgą przyjmuje wyjazd swoich dość długo niewidzianych synów – myślała, gdy Wojtek z Oliwią wsiadali do samochodu. Chwilę wcześniej wyjechał Maciek z Agnieszką i Judytką.

Starła się przed sobą wytłumaczyć, że potrzeba jej trochę spokoju, żeby wszystko od nowa poukładać, przeanalizować i się zastanowić. Tylko jak miałyby to zrobić? Przecież, żeby myślała nie wiadomo co, niczego nie zmieni. Marek nie żył. Na zawsze. Żadne rozważania by tego nie cofnęły.

Były ferie, więc nie musiała się nigdzie śpieszyć, nie miała żadnych obowiązków. Kiedy piła poranną kawę, uświadomiła sobie, że od teraz nikt nie będzie niczego od niej wymagał. Że nie musiała już prasować mu koszul, przygotowywać na obiad tego, co lubił. Że nie musiała nawet w ogóle gotować.

Wtedy się rozpląkała. Łzy leciały jedna za drugą i nie mogła się uspokoić, jakby cały nagromadzony i niewylany na pogrzebie zapas musiał się wydobyć na zewnątrz. Wiedziała, że to szlochanie jest bez sensu, że płacz niczego nie zmieni, ale nie mogła przestać. Przypomniła sobie, jak obejmował ją wpół i dawał przeciągłe buziaki w podziękowaniu za wyprane i uprasowane koszule. Uwielbiał je nosić i miał ich dużo. Mimo że był inspektorem nadzoru budowlanego i krążył bez przerwy między budowlami, pod kurtką czy bluzą zawsze miał koszulę.

Jakby chciał podkreślić, że nie jest robotnikiem, tylko kimś lepszym. Inżynierem. Szefem. Bossem. Mógł taką budowę za-
trzymać jedną decyzją. Miał władzę i uwielbiał z niej korzystać.

Pewnie użalałaby się tak nad sobą jeszcze dłużej, gdyby nie
krótki dzwonek do drzwi. Zamarła. Nie miała ochoty otwierać,
ale siła przyzwyczajenia wygrała. Alicja szybko wytarła oczy
i podniosła się z fotela.

Za drzwiami stał listonosz.

– Dzień dobry. Mam list dla pana Olszewskiego.

Machinalnie wyciągnęła rękę.

– Odbiorę. Jestem żoną.

Listonosz przyjrzał się jej uważnie, ale po krótkim wahaniu
podał jej listę do podpisu.

– Czytelnie poproszę, z dopiskiem „żona”.

Zrobiła, co kazał, i wzięła do ręki kopertę. Gdy zamykała
drzwi, uświadomiła sobie, że przecież Marek nie żyje. Stała
w przedpokoju z kopertą w ręce, niezdolna się ruszyć.

– Mój Boże, co teraz? Co mam z sobą zrobić? – powiedziała do
siebie.

Odłożyła list na lodówkę. Też machinalnie. Nigdy nie otwie-
rali osobistej korespondencji, nawet tej urzędowej, chyba że
któreś z nich o to poprosiło. Później sama się tym zajmie.

Pomyślała, że może zrobi jednak obiad, i zajrzała do lodów-
ki. Była pełna jedzenia, które zostało z wczorajszego obiadu
w restauracji. Alicja przypomniała sobie, że potrawy, których
nie zjedli, restaurator skrupulatnie zapakował i wręczył
Agnieszce, a ta pochowała wszystko do lodówki. Trochę poszło
wczoraj wieczorem, ale zostało jeszcze mnóstwo.

Jak mogłam nie wpaść na to, żeby zapakować to Wojtusiowi?

Maciek nie zabrałby tego do Norwegii, ale Wojtek chętnie by
skorzystał, choćby z lenistwa. Może rzeczywiście powinna od-
wiedzić Maćka w tym Oslo, pobyć trochę z nimi, pozbierać się?

Za obiad też mi już nigdy nie podziękuje.

Nie będzie się teatralnie obliżywać na widok schabowego i bigosu, jego ulubionych potraw. Nie skrzywi się, że podaje mu mielone, których nie lubił i które czasem robiła, gdy się pokłócili i chciała zrobić mu przykrość. Sobie też, bo również za nimi nie przepadała. Znow się rozpłakała.

– Co mam z sobą zrobić? – powiedziała głośno, gdy się trochę uspokoiła.

Stała przy bufecie i wyrzała przed okno. Mieli ładny widok. Na osiedlach z wielkiej płyty rzadko kto mógł podziwiać widoki. Zielony skwerek, kawałek dalej plac zabaw. Fakt, bywało głośno, ale w kuchni jej to nie przeszkadzało, a kiedy szli spać, to dzieci już dawno leżały w łóżkach.

Była zima i wszystko zasypał piękny śnieg, który trzymał się jak na złość. Dzieci też nie urzędowały w piaskownicy. Gdzieś niedługo ktoś przeszedł z zakupami, inny zmierzał do pracy. Ludzie zajęci byli swoimi bardziej i mniej ważnymi sprawami. A ona nadal nie ma pojęcia, jak zapełnić dzień.

Gdyby Marek żył, pewnie by się pakowała albo byłiby już w drodze. Planowali wyjechać na jedną z wycieczek, które tak lubili i na które czekała. Wybierali kierunek, wsiadali w samochód i jechali na dzień, dwa albo trzy. Na ogół wyjeżdżali, gdy było ciepło, ale zima o tyle ich kusiła, że Marek miał mniej pracy, więc łatwiej mógł się wyrwać, gdy Alicja zaczynała ferie. Zaplanowali sobie szlak zamków krzyżackich, skończyć mieli nad morzem, a później jeszcze odwiedzić Maćka. Lubiła morze zimą, Marek nie, ale jakoś zdołała go namówić, żeby zarezerwowali czas na spacer po plaży. Uwielbiali zwiedzać, choć każde z nich robiło to inaczej. On patrzył na zabytki jak na budowle. Potrafił mówić o tym długo i musiała przyznać, że całkiem ciekawie. Słuchała tego i nawet często wykorzystywała to na lekcjach. On zaś opowiadała mu o historii tych miejsc, ale to interesowało go mniej. Nie miał zapewne, co z taką wiedzą zrobić, więc nie widział

potrzeby, żeby ją przechowywać. Marek był człowiekiem bardzo praktycznym.

Prawdziwe zwiedzanie zostawiali sobie na emeryturę. Wtedy chcieli objechać całą Polskę. Czasem wpadali do domu, owszem, żeby odpocząć, pozałatwiać konieczne sprawy. Marek kiedyś myślał nawet o kupnie jakiegoś kampera. Spodziewał się solidnej emerytury, bo zarabiał dobrze, a w przeszłości pracował też na zagranicznych kontraktach. Alicja oczywiście nie miała co liczyć na prawdziwe pieniądze po trzydziestu pięciu latach pracy w szkole.

Zrobiło jej się bardzo żal tej zaplanowanej przyszłości, która nigdy się nie spełni. Wiedziała, że sama nigdzie nie pojedzie. Co to za przyjemność samotnie włóczyć się po Polsce? Przecież zwiedzanie to tylko połowa przyjemności, drugą było przebywanie z bliską osobą, cieszenie się sobą. Znowu zbierało jej się na płacz. Mieli tyle planów...

Od kiedy synowie się wyprowadzili, oboje byli wolni. Żadnych dodatkowych obowiązków, tylko praca i oni. Nawet seks zaczął znowu smakować. Mogli wszystko. Byli zdrowi, nie byli jeszcze starzy, byli mądrzy, mieli wystarczająco dużo pieniędzy na dobre życie. Alicja miała tylko dwa lata do emerytury, Markowi został rok. Nie musieli na nią przechodzić, ale chcieli i czekali na to. Oznaczała dla nich wolność. Cieszyli się znowu sobą i, o dziwo, było im ze sobą dobrze, choć jeszcze niedawno myślała, że uczucie między nimi zgasło zupełnie, że żyją właściwie obok siebie i tak już zostanie. Wystarczyło trochę wysiłku, by okazało się, że można znowu czuć się szczęśliwym. Nie tak, jak osiemnastolatki czy nowożeńcy, inaczej, ale przecież też wspaniale. Gdyby jeszcze chciał pracować trochę mniej... Zdarały mu się bardzo późne powroty, często też wyjeżdżał, ale gdy wracał, nadrabiali. Taka krótka rozłąka może nawet dobrze robiła ich małżeństwu. Alicja uświadomiła sobie, że to wszystko już przeszłość. Znowu coraz bardziej zbierało jej się na płacz.

Nagle te rozważania przerwał dzwonek telefonu. Aż podskoczyła. Nie lubiła głośnych i ostrych sygnałów, więc miała łagodną melodyjkę. W ciszy, która panowała, dźwięk i tak rozszedł się po całym domu. Spojrzała na wyświetlacz.

– Cześć, Maciuś.

Synowie denerwowali się czasem, że wciąż zwracała się do nich „Maciuś” i „Wojtuś”. Przy ludziach starała się powstrzymać, ale przecież teraz nikt nie słyszał.

– Cześć, mamó – odpowiedział. – Co porabiasz?

– Nic, staram się czymś zająć, ale średnio mi idzie – wyznała szczerze i trochę pożałowała. Po co robić z siebie ofiarę i co jej przyjdzie z tego, że syn będzie się martwił zza Bałtyku?

– Mówiłem, żebyś przyjechała z nami. Z Judytką spędziłabyś trochę czasu i pozwiedzała.

Wydawało jej się, czy mówił do niej jak do dziecka?

– Z Judytką to może, ale ze zwiedzaniem to chyba przesadziłeś. Zrobiłbyś sobie wolne? Czy może Aga?

Agnieszka była pielęgniarką i bardzo sobie chwaliła tę pracę. W Norwegii oczywiście, bo w Polsce niezbyt jej się podobała.

– No ale zawsze można pospacerować po mieście. Po angielsku się dogadasz...

– Wiem przecież, byłam – rzuciła zniecierpliwiona. – Dzwonisz z czymś konkretnym? – spytała. Jak to możliwe, że własny syn, który z dobrego serca zadzwonił do matki, by spytać, jak sobie radzi, ją denerwował?

– Chciałem spytać, co u ciebie po prostu – powiedział dość ostrożnie Maciek.

– W porządku, synku, obiad robię – odrzekła łagodnie. Postanowiła, że nie będzie martwić swoich dzieci.

– Aha, to smaczno, mamó. Zadzwonię jutro, dobrze?

– Pewnie, dzwoń, Maciuś, kiedy tylko chcesz.

Westchnęła i poszła do kuchni.

Może obiorę ziemniaki do tego mięsa? – pomyślała zaglądając ponownie do lodówki i przyglądając się kotletom, które Aga albo Oliwka pracownicy poprzykrywały foliami do żywności.

Za dużo tego. Dlaczego nie dałam trochę Wojtkowi?

Ledwie skończyła wkładać jedzenie do zamrażalnika, gdy znów zadzwonił telefon.

Zmówili się czy jak?

– Cześć, Wojtuś.

– Cześć, mamu, jak się masz? – W tle dało się usłyszeć jakieś ciche rozmowy. Na pewno był w pracy.

– Jak się mogę czuć, Wojtuś... Obiad robię – zreflektowała się szybko. Obiecała sobie przecież nie martwić swoich dzieci.

– Dobrze się czujesz? Bo jakoś tak brzmisz...

Wojtek nie był zbyt dobry w takich rozmowach. Konkretny, dokładny – owszem – ale konwersacja nie była jego mocną stroną. Reagował bardzo emocjonalnie i bardzo się wszystkim przejmował, ale nie umiał o tym mówić. Z komputerami porozumiewał się dobrze, z ludźmi różnie bywało. Jak się dogadywał z Oliwką, redaktorką w wydawnictwie, wygadana, trochę nawet ekstrawagancką, Alicja nie wiedziała, ale widać jakoś im się udawało.

– Jak mogę się dobrze czuć, synku? Tata nie żyje. Czyli mój mąż – powiedziała i natychmiast pożałowała. Przecież miała się pilnować i nie wygadywać głupot. Stwierdzi, że matce odbiło już pierwszego dnia po pogrzebie.

– Mamu, może wezmę jutro wolne i przyjadę do ciebie? – Wojtek był chyba zaniepokojony. – Albo może zajrzysz do nas? Ferie masz, półtorej godziny pociągiem i jesteś. Pochodzimy trochę, lubisz przecież Warszawę, pójdziemy na jakąś kolację...

– Może kiedyś, dziękuję, że się troszczysz, ale muszę trochę ogarnąć dom, wiesz, posprzątać i odpocząć. Wojtuś, mięso mi się przypala, dzwoniemy się jutro, okej? Pozdrów Oliwkę.

Rozłączyła się. No, to wszyscy zadowoleni. Oni, bo spełnili obowiązek, zadzwonili do biednej, samotnej matki i mogli mieć spokojne sumienia. O na, bo jakoś wybrnęła. Tylko że nadal nie wiedziała, co dalej. Poza tym obiadem, na który nie miała specjalnej ochoty.

Przecież nieraz zostawała sama, gdy Marek gdzieś wyjeżdżał albo szedł z Grześkiem na jakieś piwo, co czasem się zdarzało. Nie upijał się, więc nie przeszkadzało jej, że chciał spędzić czas z przyjacielem. O na wtedy nie snuła się po domu, myśląc obsesyjnie, co dalej.

Więc dlaczego teraz to robię, do cholery?

Bo on nie żyje. I nie wróci.

Tym razem się nie rozplakała. Tym razem poczuła paniczny strach.

Później zadzwoniła jeszcze Dorota oraz obaj bracia Marka. Rozmawiała też z Ewą, dyrektorką szkoły i koleżanką, z którą znały się długie lata. Wszyscy chcieli wiedzieć, jak sobie radzi. Powinna być im wdzięczna, bo przecież pytali z dobrego serca, żeby czuła, że pamiętają, że współczują. Tyle że pod koniec dnia nie miała już sił i najchętniej wyłączyłaby telefon. Jeśli zadzwoni ktoś jeszcze – nie wytrzyma. Szkoda tylko, że żaden z rozmówców nie powiedział jej, jak ma teraz żyć.



Dzień płynął za dniem. Taki sam, podobnie beznadziejny, jak poprzedni. W stawiała, piła kawę, włączała telewizor i snuła się po domu. Wytarła kurze z każdego miejsca, poukładała rzeczy we wszystkich szafkach i szufladach, jakie były w mieszkaniu. Wszystkich z wyjątkiem tych, w których były rzeczy Marka.

Próbowała czytać, ale marnie jej szło. Pomyślała, żeby wychodzić na zakupy po jedną rzecz, wracać, by później pójść po kolejną i tym sposobem zabić czas, którego miała w nadmiarze, ale za każdym razem musiałyby się ubrać w te zimowe buty, kurtki i szaliki. Nie chciało jej się. Maciek i Wojtek dzwonili codziennie i niezmiennie odpowiadała im to samo: że wszystko w porządku,

właśnie czyta, sprząta albo idzie na zakupy. Starła się trzymać fason.

W sobotę wreszcie stopniał ten piękny śnieg i padał rześisty deszcz. Bardzo źle spała tej nocy, a właściwie długo nie mogła zasnąć i męczyła się przez kilka godzin, usiłując się przekonać, że musi zapaść w sen. Udało jej się dopiero nad ranem. Gdy usłyszała dzwonek, nawet nie chciało jej się wstać. Uznała, że to jakieś reklamy. Bo kto miałby przyjść w sobotę? Po drugim sygnale westchnęła ciężko i wstała z fotela.

– Halo – powiedziała do domofonu.

– To ja, mamuś – usłyszała w słuchawce. „Mamuś” mówił do niej tylko Wojtek – od lat wyłącznie wtedy, gdy byli sami.

– Co się stało? – spytała głupio, a później nacisnęła guzik otwierający drzwi, gdy zdała sobie sprawę ze swojego zachowania. Chwilę później Wojtek trzymał ją w objęciach. Przy bracie, ani tym bardziej przy Oliwii, nie zachowałby się w taki sposób. Rozumiała to. Był w końcu dorosłym mężczyzną i trudno, żeby pokazywał dziewczynie, że tuli się z mamusią, chociaż przecież nie było w tym niczego niewłaściwego.

– Jak się masz, mamuś? – spytał.

– Jakoś żyję – odrzekła beznamiętnie.

W ostatnich dniach tyle razy odpowiadała na podobne pytania, że robiła to już automatycznie, choć naprawdę miała ich dość. Potrzebowała dobrej rozmowy z kimś bliskim, komu mogłaby wyjawić, co czuła, chociaż nie była pewna, czy sama to wiedziała. Tyle że nie miała nikogo takiego. Jej jedyna przyjaciółka wiele lat temu przeprowadziła się pod Wrocław. Przyjaźnie na odległość raczej się nie udawały.

– Wejść, Wojtuś – dodała po chwili. – Stało się coś?

– Musiało się coś stać, żebym odwiedził staruszkę?

Wojtek mówił tak często. Dotąd używał jednak zwrotu „staruszkowie”. Groziła mu zawsze palcem i mówiła ze śmiechem: „tylko nie staruszków, bo cię wydziedziczymy”. Tym razem nie zareagowała.

- Zjesz coś? – spytała obojętnie.
- Nie, dziękuję. Jadłem śniadanie – odpowiedział poważnie.

Mimo to Alicja skierowała się do kuchni i wzięła do ręki czajnik.

- Zrobić ci herbaty czy kawy?
- Może kawy bym się napił?
- Co takiego się stało, że wybrałeś się do Łodzi z tej wielkiej Warszawy? – Próbowала zabrznieć lekko, nawet zabawnie, widziała przecież jego zatroskany wyraz twarzy. Nie chciała, żeby martwił się o stan psychiczny matki.
- Chciałem sprawdzić, jak u ciebie, mamus. Spędzić trochę czasu.

Alicja przyjrzała mu się uważnie. Dotąd nie wykazywał chęci, żeby spędzać czas z matką. Z Oliwią owszem, ale z matką?

Ale do tej pory żył Marek...

Może Wojtek też potrzebował odpoczynku od znajomych, którzy pytali, jak sobie radzi? Przecież umarł mu ojciec, miał prawo czuć się smutny i zagubiony. Może przed Oliwią i kolegami z pracy starał się trzymać fason? Wojtek był wrażliwym, nieco skrytym chłopcem. „Synuś mamusi” – tak zawsze mówił Marek i było w tym chyba sporo prawdy.

Mimo to rozmawiali o mało istotnych sprawach. O mijali ten najważniejszy temat, ten problem, który od tygodnia usiłowała rozwiązać: jak teraz żyć i czym wypełnić czas. Poszli na obiad, pomógł jej z zakupami i zrobiła zapas wody, soków i innych cięższych rzeczy chyba na pół roku, jakby nie potrafiła podjechać samochodem pod sklep. Wojtek się uparł, że jej pomoże, i uległa głównie dlatego, żeby nie robić mu przykrości. Poszli jeszcze na cmentarz. Nie była tam od pogrzebu, gdyż nie czuła specjalnej potrzeby stania przy tym zimnym grobie. Przecież leżało w nim tylko ciało jej męża. Dusza była w niebie, czyśćcu, piekle albo nigdzie, ale na pewno nie tam.

Wojtek pojechał wieczorem, zapewniwszy, że kocha, pamięta i że zadzwoni. Miło jej było, że ją odwiedził, że okazał jej w ten sposób

swoją miłość, ale gdy kładła się spać, nie była ani krok bliższa od odpowiedzi na pytanie, jak ma dalej żyć.



Ferie zawsze wydawały się za krótkie, brakowało jej czasu, zawsze była zajęta tym, żeby nadrobić wszystkie zaległości. No i żeby miło spędzić ten czas z Markiem. On pracował mniej albo brał wolne i robili, co im akurat przyszło do głowy.

Tym razem czekała na koniec ferii. Miała nadzieję, że powrót do szkoły dobrze jej zrobi, ale równocześnie trochę się jednak go bała. Zdawała sobie przecież sprawę, że znajduje się w stanie jakiegoś otępienia – że nie jest normalnie. Młodzi wyuczują takie rzeczy. Albo będą dla niej zbyt mili z litości, albo to wykorzystają. Tyle że przynajmniej czas będzie jej szybciej leciał.

„Buda”, jak od lat uczniowie mówili na szkołę, stała niewzruszona. Gdy Alicja weszła do swojej pracowni, od razu poczuła się lepiej, pewniej. Nie ubrała się na czarno, bo nie chciała epatować swoją żałobą, przecież i tak wszyscy wiedzieli, co się wydarzyło.

– Jak się trzymasz? – spytała Gośka, matematyczka, gdy usiadły przy kawie podczas okienka. Kobieta była po kolejnym nieudanym związku.

Alicja westchnęła. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, chociaż ćwiczyła to przez ostatnie dwa tygodnie.

– Zostałam tu właściwie sama... – zaczęła ostrożnie. Nie chciała się rozklejać, nie była nawet pewna, czy w ogóle chce o tym rozmawiać ze sporo młodszą koleżanką, która co chwilę obwieszczała, że spotkała tego jedyne, z którym ma zamiar spędzić resztę życia.

– Samotność jest straszna, sama się przekonasz – szepnęła Gośka. – A znaleźć porządnego faceta po czterdziestce to chyba cud, sama się przekonasz. – Machnęła ręką.

Alicja zupełnie nie wiedziała, jak zareagować. Powiedzieć, że nie myśli o żadnych facetach? O burzyć się na takie sugestie, bo przecież właśnie straciła męża? Z kłopotu wybawił ją wuefista, który akurat wszedł do pokoju nauczycielskiego i powitał kobiety głośnym „dzień dobry”.

Lekcje udało jej się poprowadzić chyba jak zwykle, choć zauważyła, że klasa matematyczna – jak wiadomo, z reguły niezainteresowana historią i często to okazująca – była spokojniejsza niż zwykle. Może to ta litość, której Alicja się spodziewała i której nie chciała?

Siedząc w pociągu „ełki”, jak wszyscy nazywali Łódzką Kolej Aglomeracyjną, stwierdziła, że pierwszy raz od pogrzebu nie myślała obsesyjnie, czym się zająć, a dzień minął niemal niepostrzeżenie. Tylko, czy teraz będzie chodziło jej wyłącznie o to, żeby czas szybciej leciał?

— ROZDZIAŁ II —

Kwiecień był w tym roku wyjątkowo słoneczny. Wiosna nadchodziła dużymi krokami i żadne ludzkie dramaty czy smutki nie mogły jej powstrzymać. Pierwsze rośliny coraz odważniej przebijały się na powierzchnię, a gałęzie drzew z wolna pokrywały się zielenią. Ptaki zaczęły wyśpiewywać najpiękniejsze melodie, a okoliczne koty z lubością wygrzewały się na słońcu.

Czekali zawsze na tę wiosnę. Marek na początku roku sporządzał plany zawodowe: układał, zapisywał, uzgadniał. Lubił mieć wszystko zaplanowane, zapięte na ostatni guzik.

Ważnym punktem tego roku miała być ich wiejska działka. Alicja przypominała sobie o niej, gdy słońce zaczęło mocniej przygrzewać. Wiedziała, że powinna tam zajrzeć po zimie, sprawdzić, czy wszystko w porządku, przewietrzyć, odkurzyć.

Kupili tę działkę rok wcześniej. Okolice Grotnik to nie było jakie miejsce. Powietrze inne niż w Łodzi, dużo lasu, przestrzeni. Wieś, ale nie taka zwyczajna, bo równie często, jak rolnika, można tam było spotkać grzybiarza czy działkowca, do tego łatwo dało się tam dojechać pociągiem; zależało jej właśnie na takim miejscu, bo chciała mieć dobre połączenie ze szkoły. Wolałaby kupić coś z domkiem letniskowym, ale Marek się uparł.

– Chyba nie sądzisz, że kupię jakąś używaną chałupę? Jakby to wyglądało? Inżynier budownictwa i nie może sobie sam zbudować domku? – drwił.

Alicja wpadła wtedy na świetny, jak jej się wydawało, pomysł.

– Jeśli chcesz budować, to może zbuduj od razu prawdziwy dom – zaproponowała. – Trochę pieniędzy mamy, na resztę weźmiemy kredyt i zamieszkamy tam. Nie musi być duży, nie rozumiem, po co mieszkamy jeszcze w tych przeklętych blokach. Marek zachował się wtedy dziwnie. Tak przynajmniej pomyślała.

– Wiesz, tak jest wygodniej – powiedział po krótkim namyśle. –

Zimą masz ciepło, w mieście wszędzie blisko, a tam trzeba o wszystko samemu zadbać...

– Pan inżynier nie potrafiłby zadbać o wszystko? – spytała nieco kokieteryjnie.

– Może kiedyś...? Lepiej będzie letniskowy – odpowiedział też w sposób, który zupełnie do niego nie pasował. Podrażniła jeszcze trochę temat, ale Marek nie zmienił zdania.

Wzięli się więc z Grześkiem do roboty, zmontowali ekipę i wybudowali fajną chałupkę. N a szczęście pozwolili Alicji zdecydować, jaka ma być. Wymogła więc na nich, żeby była parterowa (bo są coraz starsi, więc lepiej unikać schodów), niezbyt duża (bo przecież ktoś to musi sprzątać) i niezbyt okazała – żeby się nie martwić, że ktoś to okradnie.

Powstał więc mały drewniany domek z zielonymi okiennicami i sporym tarasem z jasnych desek. Ładnie im wyszło, musiała przyznać, choć grzebali się z tymi pracami całe lato, bo przecież sezon budowlany był w pełni i mieli dużo zawodowych obowiązków. Jesień zesłała na wykańczaniu wnętrza, więc nie zdążyli już właściwie pomieszkać. Spali tu może kilkanaście nocy... A teraz została sama.

Tej soboty pogoda była piękna, Alicja postanowiła więc tam pojechać i zobaczyć. Wsiadła z pociągu i wpadła w zupełnie inny świat. Odzwyczaiła się od tej ciszy; chyba nawet nie zdążyła jej dobrze poznać. Mimo że ich Pustkowa Góra nie leżała w środku lasu i jeździły tu pociągi, a droga była asfaltowa, to każdy hałas zdawał się inny niż w mieście. Szła szosą, obszczekiwana

przez okoliczne psy, i wahała to powietrze, które pachniało ciepłem, trawą, ziemią i z wolna rozkwitającymi kwiatami. Zapiał jakiś kogut, słychać było ciągnik z nieodległego pola, ptaki wrzeszczały. Inny świat. Powoli, nieśpiesznie, dotarła do swojej bramy. Jej działka wyglądała naprawdę nędznie. Wszystko pozamykane, pochowane, uśpione.

Czy jest sens, żeby to trzymać? – myślała, szukając klucza. Może lepiej sprzedać, nie będzie kłopotu. Trzeba porozmawiać z chłopcami.

Zgromiła się natychmiast. Dlaczego miałyby z nimi rozmawiać? Dlaczego mieli decydować w takiej sprawie? Wiedziała, że w gruncie rzeczy to nieprawda, bo wszystko, co zostawił Marek, było też ich spadkiem po ojcu, ale nie chciała tak tego postrzegać.

Z drugiej strony tak tu pięknie...

Skupiła się wreszcie na kluczu, ale ten nawet nie drgnął, gdy chciała go przekręcić w zamku. Próbowwała wszystkich, myśląc, że może nie pamięta, który jest do furtki; był jednak zbyt charakterystyczny, by pomylić go z którymś innym.

– Cholera jasna. Dlaczego wszystko jest przeciwko mnie? – mruknęła coraz bardziej wściekła.

Wyjęła więc klucz z furtki i spróbowała otworzyć bramę, licząc, że wejdzie w ten sposób. Efekt był podobny, choć z tą różnicą, że klucza, który włożyła do kłódki, nie mogła już wyjąć. Czyżby zamki pozamarzały? Przecież Marek powinien zabezpieczyć je przed mrozem. To zupełnie niepodobne do niego, żeby o tym zapomniał albo nie pomyślał. Stała więc bezradnie przed wejściem, z kluczem, który utknął w bramie, i kompletnie nie wiedziała, co zrobić. Chciało jej się płakać. Miała ochotę wyć, kopnąć tę przeklętą furtkę i uciec stąd jak najdalej. Nie usłyszała nawet, że na poboczu zatrzymał się ciemny crossover. Zareagowała dopiero, gdy kierowca się odezwał.

– Dzień dobry. Jakiś problem? Może w czymś pomóc? – spytał po prostu.

Odwróciła się nieco przestraszona i szybko zlustrowała go wzrokiem. Nie wiedziała, kim jest, ale skąd miałyby go znać? Wysoki, mocno zbudowany, pewnie koło sześćdziesiątki, choć nie była dobra w określaniu wieku, zwłaszcza dojrzałych ludzi. Starzeli się różnie i nigdy nie było wiadomo, czy już przeszli ten proces i tak wyglądają, czy są na początku tej przemiany.

Szpakowate włosy, niegdyś ciemne, były nieco zbyt długie, zarost miał pewnie ze trzy dni. Robocze ubranie też przydałoby się wyprać. Uwagę przykuwały za to intensywnie niebieskie oczy ocienione długimi rzęsami, jak u dziewczyny. Do tego miał zatroskany wyraz twarzy, jakby facet się czymś martwił.

– Dzień dobry. Klucz się zaciął, ale jakoś sobie poradzę – powiedziała dość oschle. To chyba niezbyt normalne zatrzymać się tak przy czyjejś bramie tylko dlatego, że ktoś próbuje przekręcić klucz. Może to jakiś złodziej? Rozejrzała się wokół. Pusto i cicho. Na szczęście był dzień, w dodatku stali w sumie w środku wsi.

– Pani pozwoli, znam się trochę na tym – odparł mężczyzna i nie czekając na jej reakcję, podszedł do furtki i zajrzał do środka zamka niczym lekarz do gardła. – O, chyba ładnie pani pordzewiał – stwierdził i uśmiechnął się lekko, ale ciepło, bez złośliwości czy poczucia wyższości. Złapał za klucz w bramie. – O, tu poważniejsza sprawa – zawyrokował. – Ale jak wlaźło, to i wyjdzie – dodał z pewnością siebie.

Zajrzał na tylne siedzenie, gdzie leżała spora skrzynka narzędziowa. Wyjął jakiś płyn, szmatkę i narzędzie, które Alicji skojarzyło się ze śrubokrętem. Zakroplił płynu do jednego i drugiego zamka.

– Teraz musimy trochę poczekać – powiedział, przyglądając się jej badawczo.

Miał taki ciepły wzrok. Łagodny. Patrzył na nią nieco z góry. Podobali jej się postawni mężczyźni. Marek był tylko trochę wyższy od niej i do tego nie lubił, by kobieta nad nim górowała, więc buty na obcasach odpadały. Przy wysokich za to ona czuła się lepiej.

Taki jak obejmie tym długim ramieniem, to naprawdę można się poczuć bezpiecznie. O czym ja myślę? *Chyba zwariowałam* – upomniała się natychmiast.

O czym ja myślę? *Chyba zwariowałam* – upomniała się natychmiast.

– Dawno pani tu nie była, prawda? – spytał cicho i jakby ostrożnie, przywracając tym Alicję do rzeczywistości.

– Rzeczywiście, ale zimą tu nie przyjeżdżamy. Bo zima. – Uśmiechnęła się, chociaż nie umiała znaleźć żadnego powodu do takiej reakcji.

– No tak. Ale teraz robi się ciepło, to pewnie będzie pani tu bywać – bardziej spytał, niż stwierdził.

– Gdy wiosna przyjdzie już na dobre... – zaczęła i urwała, bo właściwie nie wiedziała, jak się wyrazić. Nie znała odpowiedzi na to pytanie. Jeśli to było pytanie.

Ładne ma te oczy. Po co facetowi takie długie rzęsy? – pomyślała za to.

– No, chyba powinno być dobrze. Pani przekreśli. – W jego głosie dało się usłyszeć przesadny entuzjazm, co podkreślił zatarciem rąk.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że klucz obrócił się łatwo.

– I czary-mary znowu mi się udały. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – To jeszcze furtka.

Pokazał wzrokiem i ponownie rozciągnął usta w uśmiechu, jakby był pewien efektu. Ten zamek też nie stawiał żadnego oporu.

– Działa – szepnęła Alicja z przejęciem.

– To życzę miłego wypoczynku. I niech się pani tak nie martwi – powiedział bardzo z siebie zadowolony, wciąż patrząc na nią i nie ruszając się z miejsca. Była tak zaskoczona, że nie zdążyła się zastanowić, o czym on mówi. – To ja uciekam. Gdyby coś było trzeba, to mieszkam na Poziomkowej, kawałek za stacją, w lewo, pod dwudziestym. Niech pani wali jak w dym.

– Zaraz, niech pan poczeka – ocknęła się. – Ile panu płacę?

– No co też pani! – Autentycznie się oburzył. – Sąsiadce pomagam. Dalekiej, ale sąsiadce. Żadne „płacę”.

– Ale tak symbolicznie, chociaż na piwo... – nalegała.

– Nie ma mowy – powiedział twardo, otwierając drzwi samochodu. – Na wsi jesteście, tu ludzie sobie pomagają. Do zobaczenia. Mieszkam pod dwudziestym, ostatni dom przed lasem. Jakby co... –

Znów się uśmiechnął.

– Dziękuję – szepnęła, ale on już ruszył i pewnie nie słyszał jej słów.

Westchnęła i weszła na podwórze.

Dobrze jej zrobiła ta działka. Alicja wytrzeptała, wyszorowała i odkurzyła wszystko, co się dało. Zmęczyła się przy tym strasznie i gdy wróciła do domu, ledwo miała siłę zjeść kolację i po raz pierwszy od dawna całkiem nieźle spała. Kładąc się do łóżka, pomyślała jeszcze, że gdyby nie ten dziwny facet, to pewnie znów byłaby w podłym nastroju...



Iwona Klimczak

Kiedyś jest teraz



Kiedyś jest teraz

Gdy Amelia odwiedza nieznaną babcię w podlódzkiej wsi, nie spodziewa się, jak wiele ta wizyta zmieni w jej życiu. Rodzinne tajemnice, romans sprzed wieku i cenne klejnoty to tylko część niespodzianek.

Czy stojąca na życiowym zakręcie dziewczyna znajdzie w cichej, położonej wśród lasów, wsi swój dom?

Czy zamknięty w sobie Patryk stanie się dla niej kimś ważnym?

Czy tych dwoje przełamię obawy przed uczuciem, zwłaszcza, gdy okaże się, że łączy ich coś więcej niż sąsiedztwo?

„Kiedyś jest teraz” to refleksyjna, momentami zabawna opowieść o poszukiwaniu swojego miejsca w życiu, o samotności i miłości, która pojawia się zwykle tam, gdzie nikt jej nie szuka.

Autorka zaprasza nas do urokliwej, leśnej miejscowości w centralnej Polsce, gdzie czas płynie inaczej, a przeszłość splata się z teraźniejszością i przyszłością.

Książki

Iwony Klimczak kupisz:

wersja papierowa:

- na stronie autorki: iwonaklimczak.pl
- na spotkaniach autorskich
- w księgarniach i w sklepach internetowych
- na [llegro](#) Lokalnie oraz [LX](#)



ebook i audiobook:

- na stronie autorki: iwonaklimczak.pl
- na legimi.pl
- na empik.com